

## Milena Wójtowicz

### Prawdziwa Miłość

Szał przychodził nocą, kiedy barona otaczała ciemność, zwodnicza, niebezpieczna, obiecująca zbyt wiele. Patrząc na księżyc i gwiazdy, baron wył jak zwierzę, drapał ściany, rwał gobeliny. I niepomyślnie na prośby wylekniionych kapłanów, składał przysięgi i wzywał moce ciemności na pomoc. Być może umarłby w swoim pięknym zamku, pośród pięknych rzeźb i drogocennych obrazów, gdyby nie odpowiedź na błagania barona, jakiej udzielił mu mrok.

Odpowiedź ta przybyła do Isalastu prawie w samo południe – przyjechała na kasztanowym koniu, który wyglądał na bardzo zmęczonego. Nie wzbudziła wielkiego zainteresowania, ale też nie przeszła niezauważona. Do miasta przybywało wielu pielgrzymów, niektórzy zwyczajni, niektórzy dziwaczni bądź straszliwie zagubieni.

Przybyła nie wyglądała na zagubioną, a na dziwaczną też w niewielkim stopniu. Nawet w Isalaście widywano kobiety ubrane w męskie stroje, więc nikt na nią oczu nie wytrzeszczał. Jeśli wola jej było chodzić w zielono-fioletowym kubraku i takich nogawicach, mieszkańcom było nic do tego. Mądrzy ludzie ocenili, że jej strój, jako zbyt porządny na zbiega czy zbója, zarazem jest zbyt skromny jak na ekscentryczną arystokratkę. Koń wyglądał na starą chabotę, utrzymaną raczej z sentymentu niż dla pożytku, siodło zaś było najwyraźniej używane od wielu lat. Przy pasie, a był to zwykły pas, nie jakieś wymyślne чудо, miała chudą sakiewkę i krótki sztylecik. Nosiła też miecz, który wydawał się zbyt wielki dla drobnej dziewczyny.

Rękojeść miecza była ciasno przewiązana kolorową chustą, powiewającą na wietrze. Wiatr potargał dziewczynie włosy. Przycięte dość krótko – nie sięgały nawet ramion – były wystarczająco długie, by ukryć jej twarz przed ciekawskimi spojrzeniami. Wśród brązowych loków, przetykanych gdzieniegdzie pasemkami barwy czystego złota, błyszczały orzechowe oczy.

Dziewczyna zatrzymała konia przy gospodzie „Pod murami”, stojącej najbliżej siedziby barona, bo, zgodnie z nazwą, tuż pod jej murami. Zsiadła, ściągnęła przytroczoną do siodła wypchaną sakwę i rzuciła wodze stajennemu. Koń zarżał, jakby protestując, ale gdy pogładziła go po pysku i szepnęła mu coś do ucha, zaraz się uspokoił. Przerzuciła sakwę przez ramię i weszła do gospody. Klientela pochylona nad swoimi kuflami nie zwróciła na nią uwagi, tylko karczmarz przyskoczył i zaczął giąć się w ukłonach.

- Witamy w Isalaście, panienko. Jestem Deryn i zaszczytem będzie gościć panią, panno...
- Tawerlin – odpowiedziała dziewczyna.

Karczmarz zatarł swoje pulchne rączki. Ludzie posiadający nazwisko zwykle płacili swoje rachunki, a to była cecha, którą karczmarz bardzo cenił u swoich gości.

- Przygotuję pani najlepszy pokój, panno Tawerlin – uśmiechnął się szeroko.
  - Nie musi być najlepszy. Wystarczy porządny. Czysty. – odpowiedziała.
  - Oczywiście, oczywiście – karczmarz pokiwał głową, jak marionetka w niesprawnych dłoniach.
- Dziewczyna sięgnęła do sakiewki i położyła mu na dłoni kilka monet.
- Za jedną noc – powiedziała.

Całe popołudnie spędziła w pokoju. Zeszła na dół równo z zapadnięciem mroku, szczelnie otulona czarnym płaszczem.

Zatrzymała się przy karczmarzu.

- Ktoś przyjdzie po mojego konia – oznajmiła. Potem wyszła i nie widział jej już nigdy więcej.

Tej nocy baron zdarł sobie palce do krwi, drapiąc i szarpiąc kamienną ścianę. Wrzeszczał i płakał, obiecując wszystko w zamian za moc, której potrzebował. Kiedy atak minął, podszedł do niego kapłan spowiednik.

- Błagajmy bogów o wybaczenie, panie – szepnął. – Za bluźnierstwa, których się dopuściłeś.
- Nie ma potrzeby – odezwał się głos za nimi. W drzwiach komnaty stała niewysoka dziewczyna w kolorowym kubraku. Z ramion spływał jej sięgający ziemi czarny płaszcz. W lewej ręce trzymała wypchaną sakwę. Podeszła do nich i stanęła na wprost barona.
- Rodryku Szalony, szesnasty baronie Isalastu, Wyklęci Władcy przyjmują twoją ofertę.

Kapłan jęknął i uczynił znak Oczyszciciela. Baron podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę z niedowierzaniem.

- Po tylu moich prośbach... po tylu błaganiach... Odpowiedziałas mi, demonie?

– Nie ja, tylko moi bogowie. – Dziewczyna niedbale rzuciła płaszcz i sakwę na stół. Sama rozsiadła się wygodnie w połączonym fotelu barona. – I nie jestem demonem, bądź uprzejmy to zapamiętać. Nazywam się Rika Tawerlin i będę wypełniać twoje rozkazy. Tak długo, jak długo dotrzymasz obietnic danych Wyklętym Władcom.

– Wszystko... dam im wszystko – powiedział baron ochryplym głosem.

– Wszystkiego im nie trzeba. Ale parę rzeczy owszem. Po pierwsze, zbudujesz w Isalaście ich świątynię.

– Plugawi Władcy nigdy nie mieli wstępu do świętego miasta – zaprotestował kapłan.

– To będą mieli. – Rika sięgnęła do sakwy i wyciągnęła zwój pergaminu. – Tu są plany. Budowę zaczniesz jutro.

– Jutro? – baron i kapłan zgodnie osłupieli.

– Jutro – powtórzyła dziewczyna. – To chyba nie jest takie skomplikowane, postawić na kupie kilka kamieni. Po drugie, od tej chwili stałeś się jednym z wyklętych. Zostałeś potępiony na wieczność. Nie myśl nawet o jakimś nawracaniu się czy błaganiu o przebaczenie. Jeśli zdradzisz Wyklętych Bogów, zabiję cię. Szybko i w miarę bezboleśnie. Nie jestem okrutna. Prawdziwej męki doświadczysz w piekłach. Nic, czego mógłbyś doświadczyć za życia, nie da ci pojęcia o tym cierpieniu. Nie ma więc nawet sensu próbować... Po trzecie, teraz będzie bolało...

Baron wrzasnął i zwinął się z bólu.

– Na twojej duszy wypalił się właśnie znak potępienia – poinformowała go spokojnie Rika. – To na wypadek, gdybyś postanowił być sprytniejszy, i po śmierci, albo przed śmiercią, próbował uniknąć piekieł.

Po czwarte, w stajni gospody „Pod murami” jest mój koń. Poślij kogoś po niego. Rozpoznają go bez problemu: ma pełen żłób i za nic go nie tknie. Niech zaprowadzą go do jakiejś pustej stajni, dadzą duży kawałek krwistego mięsa i wyjdą, nie oglądając się za siebie. Po piąte, każ przygotować dla mnie pokój. Rano zajmę się ściganiem tych, jak im tam...

– Warnaka i Isolayi – powiedział baron.

– Może być – zgodziła się Rika. – Proponuję, żebyś zajął się teraz punktem czwartym i piątym.

Baron pokiwał głową i pośpiesznie opuścił komnatę.

Kapłan skulił się mocno pod ścianą, jakby próbował przez nią przeniknąć i uciec od tego, czego był świadkiem. Dziewczyna spojrzała na niego z ciekawością, przechylając lekko głowę na bok.

– Przechodzenie przez mur chyba ci nie wychodzi – powiedziała.

Kapłan wzdrygnął się.

– Paskudztwo. Plugastwo – wysyczał wściekle. – Ohyda – splunął na kobierzec.

– Mam lustro i wiem, że aż tak źle nie wyglądam – stwierdziła beztrąsko Rika.

– Nie chodzi o twoje ciało, ale o duszę, przeżartą zgnilizną, sparszywiałą, noszącą zamię podłóści!

– A, o to – dziewczyna pokiwała głową. – Co do zgnilizny i sparszywienia, to możesz mieć rację, ale znaku potępienia nie mam. Wyklęci Władcy nie potrzebowali mnie naznaczać, by mieć gwarancję mojej lojalności. Wiedzą, że zawsze będę im służyć. Nie ma dla mnie innej drogi. – Wstała z ozdobnego fotela i sięgnęła po płaszcz i sakwę. – Słodkich snów, świętobliwy.

Otwierała drzwi komnaty, którą przydzielił jej baron, kiedy w korytarzu pojawił się kapłan.

– Słodkich snów, pani – powiedział z naciskiem.

Rika westchnęła i weszła do środka. Nie znosiła, kiedy przeciwnicy próbowali grać fair. Zamknęła drzwi, ale nie ryglowała ich. I tak nigdy nie udawało im się dojść do progu. Sakwę i płaszcz położyła na komodzie, miecz obok siebie na łóżku.

– Lordowie ciemności, panowie światła, chrońcie mnie – wyszeptła zanim zasnęła.

Nad ranem na zamku rozległ się rozdierający krzyk. Rika przewróciła się na drugi bok. Zdążyła się już przyzwyczaić.

Ku jej zdziwieniu, kapłan pojawił się na śniadaniu.

Ledwo go było widać spod warstw opatrunków.

– Większość pada trupem na miejscu – poinformowała go znad kubka mleka.

– Nie udało ci się mnie zabić, pomioście demonów – syknął kapłan.

– Gdybym chciała cię zabić, leżałbyś pod już stołem ze sztucami wbitymi w parę ważnych miejsc. I bądź uprzejmy nie obrażać moich rodziców.

Wstała od stołu. Wyglądała tak samo jak poprzedniego dnia, tyle że na kubrak włożyła kolczugę, noszącą ślady intensywnego użytkowania.

– Komu w drogę, temu czas – oznajmiła, porzucając niedojedzone śniadanie i towarzystwo kapłana.

Na dziedzińcu stajenni zgromadzili się lękliwie wokół zagrody, w której umieszczono jej konia.

Wierzchowiec już z rana solidnym kopniakiem wywalił wrota stajni i czekał na swojego jeźdźcę. Żłób, który wczoraj napełniono mu mięsem, był pusty, a pysk zwierzęcia cały umazany zakrzepłą krwią. Koń nadal robił wrażenie spracowanego i mocno zmęczonego.

Rika odwróciła się w stronę barona, który stał na schodach, mnąc nerwowo rękaw szaty.

– Żywi czy martwi? – zapytała.

– Wszystko jedno, czy zabijesz ich ty, czy ja. Bylebym zobaczył ich ciała – odparł twardo.

Rika wzruszyła ramionami, wsiadła na konia i odjechała.

W niewielkiej, prawie całkiem spalonej wiosce gwardziści z Isalastu budowali właśnie szubienicę dla złodzieja. Co prawda, gałęzie okolicznych drzew nadawałyby się do powieszenia nawet paru złodziejasków, ale prawo wymagało, by każdy bandyta miał swoją szubienicę. Dobrotliwy kaznodzieja usiłował przekonać skazańca, żeby nawrócił się przed śmiercią. Skazaniec upierał się, że to nic nie da, bo i tak czeka go wieczne potępienie. Nie wykazywał przy tym żadnej skruchy za popełnione zbrodnie.

Żołnierze skończyli zbijać deski. W świetle zachodzącego słońca szubienica rzucała złowrogi cień.

Już mieli założyć pętlę na szyję mężczyzny, kiedy do wioski galopem wjechał rycerz w czarnej zbroi, na czarnym koniu, z ogromnym mieczem w dłoni. Pędził jak wichra, zostawiając za sobą ciała zasieczonych żołnierzy. Ci mieszkańcy, którzy nie poginęli i jeszcze nie uciekli, zdecydowali się na nagłą i ostateczną emigrację. Kaznodzieja schował się pod stół, tak, że wystawał tylko jego tłuszciki zadek. W parę chwil w wiosce został tylko rycerz, zdumiony złodziej i dużo trupów.

– Wielkie dzięki, szlachetny panie – powiedział niedoszły wisielec.

– Nie dziękuj, bo nie było moim zamiarem ratować przestępcę – odarł rycerz. – Wypełniam jedynie swoje przeznaczenie, którym jest zniszczenie potęgi szalonego barona. To człowiek z gruntu ułomny, o chorej duszy skażonej obłudą, który śmie uzurpować sobie prawa boskie. I w swej pysze za drobne grzechy karze tak, jak za śmiertelne.

Do wioski wjechała kobieta na białym koniu.

Zasłaniała twarz welonem, przytrzymując jego kraniec dłonią, jakby cieniutka tkanina mogła odgradzić ją od widoku pokrwawionych ciał. Rycerz zsiadł ze swojego konia, przywiązał jej wierzchowca do drzewa i zdjął ją z siodła.

– Zatrzymamy się tu na noc – rzekł.

Złodziej zręcznie wyswobodził dłonie z pęt.

– Pozwólcie, o przeszlachetni, że się przedstawię. Zwą mnie Fer i mam szczerą nadzieję, że będzie mi wolno przynajmniej zapytać, komu zawdzięczam to, niechętnie wprawdzie, jednak ocalenie? – uśmiechnął się czarująco.

– Warnak i Isolaya? – rozległ się czyjś głos.

Odwrócili się w jego stronę zarówno rycerz i dama, jak i złodziej.

Obok szubienicy stał bardzo zmęczony koń. Za uzdę trzymała go dziewczyna z mieczem w dłoni.

– Baron Isalastu życzy sobie was widzieć – powiedziała. – Pójdziecie dobrowolnie?

Warnak wyciągnął miecz.

– Tak myślałam – stwierdziła obojętnie Rika.

Rycerz zaatakował. Wojowniczką była od niego o głowę niższa i ze dwa albo trzy razy szczuplejsza, a jednak jego miecz pękł już w chwili, gdy klingi uderzyły o siebie po raz pierwszy. Warnak upadł na ziemię. Isolaya jęknęła i zemdląła. Złodziej podtrzymał ją w ostatniej chwili.

– Stój – krzyknął do Riki, która wyraźnie zamierzała dobić pokonanego rycerza. – Nie możesz go zabić.

Dopiero co uratował mi życie.

– To miło z jego strony – powiedziała Rika, unosząc miecz. Fer rzucił Isolayę na ziemię i stanął między dziewczyną a rycerzem.

– Riko Tawerlin, ja mówię poważnie – krzyknął. – Mam dług honorowy wobec tego człowieka.

Rika opuściła miecz.

– Czy ty myślisz, że ja się za nimi uganiam dla rozrywki? Mam ich dostarczyć baronowi, a jeśli masz coś przeciwko, to dyskutuj o tym z naszymi władcami, nie ze mną. A w ogóle, to od kiedy złodzieje mają honor, że o długach honorowych nie wspomnę?

– Mamy honor złodziejski – odparł Fer nieco stropiony. – Wola naszych władców, powiadasz... Musisz ich koniecznie zabijać?

– Nie muszę, ale widzisz, że sami się o to proszą.

Za plecami złodzieja rycerz próbował wstać. Rika obserwowała go uważnie.

– Nie próbuj niczego głupiego – ostrzegła. – Barona nie obchodzi, czy będziesz żywy czy martwy. Tym bardziej nie obchodzi to mnie.

Warnak sięgnął po leżący na ziemi drąg.

– Po moim trupie zabierzesz nas do szaleńca.

– Niech będzie po twojemu. – Rika odepchnęła Fera i ponownie wzniosła miecz. W ostatniej chwili zawahała się. Zamiast uderzyć w rycerza, skierowała ostrze miecza ku ziemi, wyciągając przed siebie wyprostowane ramię. Podniosła rękę na wysokość oczu. – Sidah – powiedziała.

Rycerz zatrzymał się i upadł. Rika pomogła wstać złodziejowi. – Tylko dlatego, że jesteś czarującym draniem – powiedziała. – Ale jutro odstawię ich do barona, a wtedy i tak zginą. Pewnie w bardziej nieprzyjemny sposób.

Fer pochylił się nad Warnakiem.

– Śpi – stwierdził ze zdumieniem. – Nie wiedziałem, że znasz takie czary.

– To magia obrońców dobra. Kiedy jej używam, to tak, jakbym rozpałała łunę na horyzoncie i zapraszała: przyjdźcie i zabijcie mnie. W tej okolicy nie powinno ich być. Za mało plugawa i za mało paskudztw do wyplenienia. Prócz nas.

Na drodze do miasta zakurzyło się, kiedy pulchniutki kaznodzieja oddalał się truchtem. Koń Riki zarżał, spoglądając za nim tęsknie.

– Opychałeś się przez całą noc – przypomniała dziewczyna. – Wystarczy ci. – Koń wyglądał na bardzo nieszcześliwego. – Za to możesz się odmienić – dodała.

– Tu, to i tak nie ma większego znaczenia.

Koń przewrócił się na grzbiet i zaczął tarzać, wznecając tabuny kurzu. Kiedy znów stanął na nogi, bynajmniej nie był już koniem. Przed przekłętą parą stało stworzenie tej samej wielkości, ale znacznie masywniejsze. Cztery potężne łapy straszyły ostrymi pazurami, a z szerokiego pyska wystawały cztery kły, zawinięte niczym bycze rogi.

– Dali ci izora? – zdziwił się Fer.

– Nie spodziewali się, że baron zażąda tylko dwóch żyć. Z reguły sprzedają swoją duszę za coś więcej.

– Ja oddałem swoją w chwili, gdy usłyszałem, że kat podnosi topór – przypomniał sobie Fer. – Nie przypuszczałem, że ktoś ją będzie chciał.

– Życie jest pełne niespodzianek. Rozpal ognisko – poleciła Rika.

Złodziej do rozpalenia ogniska wykorzystał deski z szubienicy, nie kryjąc przy tym satysfakcji. Rika przyciągnęła do ognia nieprzytomnych Warnaka i Isolayę.

Izor z zainteresowaniem zaczął obwąchiwać ciała poległych gwardzistów.

– Ani się waż – krzyknęła Rika. – Wykop dół za tą spaloną stodołą, wrzuć ich tam i zasyp. Nie jedz, jasne? – złapała stwora za pysk i spojrzała mu prosto w oczy.

Izor niechętnie wykonał polecenie. Wojownicza ułożyła kilka desek, gotując sobie w miarę wygodne siedzisko. – Usiadła z westchnieniem, ignorując nieprzyjemne trzeszczenie desek. W tej samej chwili Isolaya zaczęła odzyskiwać przytomność. Kiedy zobaczyła obok nieruchomego Warnaka, zalała się łzami.

– Och, przestań hałasować! On tylko śpi. – Rika sięgnęła do sakiewki i wyciągnęła z niej małą buteleczkę. Upiła z niej solidny łyk.

– Czarnoksięska mikstura – stwierdziła Isolaya, obrzucając Rikę na poły niechętnym, na poły zaciekawionym spojrzeniem.

Fer zachichotał.

– Lekarstwo na mdłości – wyjaśnił.

– Twój szanowny towarzysz lubi chyba wypruwać ludziom wnętrzności – wzdrygnęła się Rika. Nagle zamilkła i zaczęła nasłuchiwać. – On chyba nie...

Fer spojrzał.

– Nie. Złapał zajączka.

Wojownicza wypiła jeszcze jedną dawkę lekarstwa.

– Lubię je – stwierdziła. – Ale nie wtedy, kiedy jedzą.

Izor wyszedł za stodołę.

Dama krzyknęła i szarpnęła rycerza za ramię. Warnak ocknął się i próbował sięgnąć po miecz.

– Co to? – wykrztusił.

– Gwarancja, że nie uciekniecie – wyjaśniła Rika, głaszcząc izora po płaskim łbie. – Ma swoje słabostki, ale jest bardzo posłuszny. Teraz będzie was pilnował. – Stwór ułożył się do snu za plecami damy i rycerza.

– A jutro oddam was baronowi.

– Chciałbym wam pomóc – odezwał się Fer. – Ale decyzję podjęli moi bogowie.

– Więc... więc to już koniec? – jęknęła Isolaya.

– Na to wygląda. – Rika wyciągnęła spod rozbitego stołu torbę z prowiantem gwardzistów. – Trzeba było wcześniej myśleć o konsekwencjach. Gdybyś ty poślubiła grzecznie barona, ty znalazłbyś sobie jakąś wesołą szlachciankę, Rodryk nie byłby szalony, moi władcy mieliby jedną duszę mniej, Fer nie

przeżywałby dylematów moralnych, ja ściagałabym kogoś innego, a wy oboje mielibyście przed sobą coś, co w skrócie można określić jako przyszłość.

– Myślisz, że to byłoby takie proste? – westchnęła Isolaya.

– Prawdziwa miłość... Taka pokonująca wszystko, taka, przed którą nie ma ucieczki. Czy ty w ogóle wiesz, co to jest? – zapytał z goryczą Warnak.

– Lepiej niż ty – odpowiedziała Rika zimno.

– Więc dlaczego nam nie pomożesz? – Isolaya spojrzała na nią błagalnie.

– No popatrz, nie przyszło mi to do głowy – stwierdziła po chwili namysłu Rika – Ależ oczywiście, że wam pomogę. – Wstała i sięgnęła po miecz. – Tylko musicie się trochę bliżej, bo inaczej nie dam rady ściąć wam głów za jednym zamachem.

– Oszalałaś? – wykrzyknął Warnak.

– Nie. Jestem najzupełniej zdrowa na umyśle. Oferuję wam szansę zejścia z tego świata razem, póki jesteście jeszcze młodzi, piękni, i póki paskudnym, złym mocom nie udało się was rozdzielić. To więcej, niż dostaje większość zakochanych.

– Skoro tak, to niech będzie – Warnak chwycił Isolayę za rękę. – Będziemy martwi, ale baron nie zdoła nas rozdzielić. Rób, co chcesz, szalona kobieto.

– Zaczekaj! – Fer odciągnął Rikę od ogniska. – Baron chciał ich ciał, tak?

Rika przytaknęła. Fer zaczął coś szeptać.

Dziewczyna słuchała, a potem odsunęła się od niego.

– Nie ja jestem szalona, tylko ty. Ale rób, co chcesz.

– Porozmawiam z Wyklętymi – postanowił Fer.

Odszedł w mrok.

Rika wróciła do ogniska.

– Wiem, że wyglądam na trochę niezdecydowaną, ale jednak nie będę was zabijać. Przynajmniej nie teraz. – Otworzyła torbę z prowiantem. – Za to zjemy porządną kolację. Z tego, co widzę, śniadanie też będzie porządne.

– Kim ty jesteś? – zapytała Isolaya, spoglądając lękliwie zza ramienia ukochanego.

– Sobą. Riką Tawerlin.

– To nie jest jasna odpowiedź. – Warnak odłamał kawałek chleba.

– Chciałbyś, żebym opowiedziała ci historię mojego życia? – roześmiała się. – A może wystarczy ci lista tych, których zabiłam? Nie pamiętam ich wszystkich.

– Nie obchodzą cię życia, które zabierasz?

– Większość z nich idzie w lepsze miejsce, niż to, które czeka na mnie. A ty ich niby wszystkich pamiętasz? – zapytała Warnaka.

– Oczywiście. Kimkolwiek byli, zasłużyli przynajmniej na to, by o nich pamiętać – powiedział z mocą. Na ustach Riki pojawił się ironiczny uśmiech.

– Doprawdy? A ilu żołnierzy dziś zabiłeś?

Warnak nie odpowiedział.

– Oni się nie liczą, prawda? – ciągnęła Rika. – Wiesz to równie dobrze jak ja. Liczą się tylko ci, którzy mają imiona, z którymi walczysz jeden na jednego, no, może jeden na dwóch czy trzech. Strażników, gwardzystów czy żołnierzy zabijasz po trzech jednym cięciem, tak jak ja, i idziesz dalej. Ja też ich nie liczę, bo kogo obchodzi, czy pod świątynią było ich dziesięciu, czy dwunastu? Ale przynajmniej uważam ich za swoje ofiary.

Warnak długo milczał.

– Ciężko jest przyjąć lekcję od kogoś, kogo się ma za gorszego od siebie – powiedział wreszcie.

– Nie musisz zmieniać o mnie zdania. – Rika wzruszyła ramionami. – To, co ludzie o mnie myślą, wynika z tego, kim jestem. A o tym, kim jestem, zdecydowałam sama.

– Postanowiłaś zostać bezwzględna najemniczką? – Oczy Isolayi zaokrągliły się z niedowierzania.

– Oczywiście, że nie – Rika wybuchnęła śmiechem. – Nie sądzisz chyba, że będąc małą dziewczynką, patrzyłam w gwiazdy i marzyłam o tym, jak depczę po ciałach pokonanych wrogów. Wręcz przeciwnie. Marzyłam o pięknym księciu, spokojnym życiu i fascynujących księgach, których nie wolno mi było czytać, bo byłam za młoda. Ale nie takie życie wybrałam.

– Nie żałujesz? – zapytała Isolaya. – Mogło być zupełnie inaczej...

– Mogło. Ale nie tak inaczej, jakbym chciała – ucieła Rika. – Wystarczy tej uroczej dyskusji. Macie, być może, ostatnią szansę w życiu, żeby się wyspać, więc korzystajcie, albo nie. Cokolwiek będziecie robić, nie hałasujcie. Ja chcę spać. I nie próbujcie uciekać. Nie wiem, czy barona ucieszyłaby wiadomość, że jesteście w żołądku izora. Upierał się, że chce zobaczyć ciała. W każdym razie, słodkich snów – otuliła się płaszczem i po chwili już spała.

Noc upłynęła spokojnie. Warnak i Isolaya nie próbowali uciekać, głównie ze względu na chrapiącego izora, który otwierał i oczy, i paszczę, kiedy tylko ktoś się poruszył. Rankiem zjedli na śniadanie resztę zawartości torby gwardzistów. Fera ciągle nie było.

Rika znalazła gdzieś beczkę wina i przyniosła ją do ognia.

– Nie wymagam, żebyście pili moje zdrowie – powiedziała. – Ale możecie wypić za waszą miłość. Kto wie, może ten drań przebłąga bogów.

Warnak i Isolaya wzniesli toast, trzymając się ze ręce. Fer wrócił do wioski zaledwie chwilę później, przywitany ostrzegawczym parsknięciem izora.

– Zaraz zobaczysz, na czym polega prawdziwa miłość – oznajmił Rice.

Podszedł do zakochanych.

– Wszystko jedno jak, gdzie, w jaki sposób, byle razem? – zapytał.

Warnak i Isolaya spojrzeli sobie w oczy.

– Tak – powiedzieli jednocześnie.

– Widzisz? – Fer podszedł do Riki. – A nie mówiłem. Prawdziwa miłość. Nie do pokonania.

– Dalej uważam, że twój plan jest idiotyczny – stwierdziła Rika, polerując miecz.

– Chyba nie masz ich zamiaru... tym?

– Nie, skąd – obruszyła się Rika.

Fer odetchnął z ulgą. Rozległ się głuchy łoskot upadku. Fer nie musiał się nawet odwracać, by się przekonać, że przy wygasłym ognisku leżą dwa martwe ciała.

– Zatruję im wino – wyjaśniła wojowniczką. – Po co przedłużać. Im szybciej zawiozę ciała do Isalastu, tym szybciej będę miała z głowy ciebie i twoje problemy moralne.

Dwa owinięte w szare koce tobołki przemocowali na grzbiecie izora. Fer wygasił ognisko, Rika wyciągnęła miecz i wycięła na fragmencie spalonej ściany kilka run.

– Z pewnością kiedyś wreszcie się zobaczymy. Ale nie tym razem – przeczytał złodziej. – Mówiłaś, że nie ma ich w okolicy.

– Przyjadą. Choćby z drugiego końca świata.

Użyłam ich magii, więc wiedzą, że tu jestem albo byłam. Nie przepuszczą okazji zabicia mnie.

– Nie mają innych zdrajców do tropienia?

– Nie sądzę. Żaden nie przeżył tak długo, jak ja – zastanowiła się, a potem wycięła jeszcze kilka run.

– Wasza oddana towarzyszką, Rika Tawerlin.

Traktujesz to prawie jak zabawę – stwierdził złodziej z niesmakiem.

– To już ponad trzy lata – odpowiedziała. – Jak długo można się bać czegoś, co ciągle nie nadchodzi?

– Nigdy cię nie znaleźli?

– Parę razy.

– I co?

– Ja, jak widać, żyję.

– A oni, jak przypuszczam, już nie – dokończył Fer.

– Tak to można ująć – zgodziła się z nim Rika, wsiadając na grzbiet izora. – Koniec gadania. Czas dopełnić umowy.

Wjeżdżający przez bramy Isalastu potwór wzbudził sensację. Rika przejechała przez całe miasto, przy okazji sprawdzając, jak posuwa się budowa świątyni.

Wyglądało na to, że budowniczy mają prawdziwie boską pomoc. Dopiero potem wjechała do siedziby władcy. Baron czekał niecierpliwie i wybiegł z pałacu, gdy tylko bestia weszła na dziedziniec.

– Wywiązuję się ze swojej części umowy – oznajmiła wojowniczką, ześlizgując się na ziemię.

Baron zatrzymał się z wzrokiem wbitym w dwa podłużne pakunki owinięte w derki. Rika rzuciła je niedbale na ziemię i rozsunała koce tak, by można było zobaczyć twarze. Były blade i zimne.

– Martwi... – W oczach barona błysnęło szaleństwo. Zaniósł się obłąkańczym śmiechem. Zakrztusił się. A potem upadł na ziemię.

Rika podeszła i pochyliła się nad nim. W jego szyi tkwiła mała strzałka przyozdobiona piórkami. Fer wyrzwał zza kolumny i podszedł bliżej.

– Po co przedłużać – wzruszył ramionami. – Wybaczą mi, że wcześniej wysłałem go na potępienie.

Rika pokiwała głową. Traciła stopą zwłoki.

– Pobudka – powiedziała.

– Możesz to zrobić delikatniej? – zwrócił jej uwagę Fer.

– Brzydzę się trupów, nawet tych żywych – odburknęła Rika i kopnęła mocniej.

Warnak i Isolaya otworzyli oczy. Przymknęli je, porażeni jasnością światła. Usiedli. Spojrzeli na siebie, osłaniając oczy przed słońcem. Wyplątali się z derek, padli sobie w ramiona i zaczęli się całować. Rika

skrzywiła się, odwróciła na pięcie i odeszła. Fer podążył za nią. Izor podniósł się z ziemi. Znowu był tylko zmęczoną chabetą.

– Obrzydliwe – jęknęła Rika, dosiadając konia.  
– Piękne – sprostował złodziej. – Prawdziwa miłość pokonuje śmierć.  
– Ja bym to określiła jako dwa zombie ssące swoje wargi. Jak będą tak dalej robić, to rozpadną się wcześniej niż jakikolwiek nie umarły.

– Jak możesz nie wierzyć w prawdziwą miłość?  
– Mogę. Wystarczy, że wiem, że to cholerstwo istnieje. A jeśli ma wyglądać tak – skinęła głową w stronę dwójki zombie pogrążających się w otchłani namiętności – to cieszę się, że mnie to ominęło.  
– Jeszcze wszystko przed tobą – uśmiechnął się Fer.  
– Wszystko, ale nie to – zawróciła wierzchowca i odjechała.

**Milena Wójtowicz**